



Zygmunt Błażek

Sygnatura notacji: **N1463**

Data urodzenia: **16.11.1940 r.**

Data nagrania: **23.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **studio nagrań Radia Gdańsk, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Daniel Wojciechowski**

Czas nagrania: **51 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Nazywam się Zygmunt Błażek, urodziłem się 16 listopada 1940 roku w Starogardzie Gdańskim. Pracowałem w latach sześćdziesiątych w Elmorze, w którym tym to zakładzie poznałem Andrzeja Gwiazdę w roku 1979 przy okazji spotkania przypadkowego na ulicy i w nawiązanej z nim rozmowie zostałem zaproszony przez niego na tak zwane tajne spotkania, które odbywały się w niektórych mieszkaniach, w związku z zawiązującymi się Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża, i tak znalazłem się, oczywiście po zachowaniu wszelkich ostrożności w mieszkaniu pani Ani Walentynowicz przy ulicy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu. Na tym spotkaniu było mnóstwo ludzi, których nazwisk poprzednio nie znałem oprócz Andrzeja Gwiazdy, ale później wszystkie te nazwiska były bardzo głośne w późniejszych latach. I tak kolejne spotkanie też odbywało się w mieszkaniu Andrzeja Gwiazdy na osiedlu Wejhera. Byłem pracownikiem w latach późniejszych przed strajkiem w Gdańskich Zakładach Elektronicznych „Unimor”, tam jako technik elektronik pracowałem na wydziale, gdzie pracowałem przy produkcji radiostacji dla potrzeb lotnictwa. W roku osiemdziesiątym już jak powiedziałem, w momencie wybuchu strajku nasz zakład, czyli GZE „Unimor”, również przystąpił do tego strajku. Ponieważ ja we wcześniejszych latach bardzo często i dużo jeździłem rowerem po świecie, zwiedziłem Europę, wszystkie kraje demoludy, tak że byłem bardzo znany z tych czynności, i w momencie strajku znalazłem się oczywiście razem z tym rowerem na terenie stoczni. Do tego celu byłem wykorzystywany, że wywoziłem z terenu stoczni wydrukowane wszystkie materiały i wywoziłem poza teren stoczni w umówione miejsca, na przykład do zaułku Świętego Bartłomieja, gdzie podjeżdżał samochód z rejestracją warszawską, i przekazywałem te materiały do Warszawy, do Kwidzyna na przykład. Był taki moment też, że próbowano mnie zatrzymać. Przestrzegał mnie przed tym Karol Krementowski od nas z Gdańskich Zakładów Elektronicznych, ale udało mi się uciec przez mały dworzec. Mieszkałem wtedy na ulicy Tuwima we Wrzeszczu w okolicach Akademii Medycznej. Oczywiście powróciłem na teren

stoczni, ale przebrałem się już w inny dres sportowy, żebym nie był kojarzony, no i oczywiście codziennie bywałem na sali BHP. Dostałem przepustkę, zostałem upoważniony z Gdańskich Zakładów Elektronicznych do przekazywania wszystkich informacji i tego wszystkiego, co się dzieje na terenie stoczni w sali BHP. Po zakończeniu strajku, po podpisaniu umów wyraziłem wielką chęć, i zresztą jak bardzo dużo osób, do tak zwanej pracy społecznej, żeby uczestniczyć w dalszym ciągu w tym, co się wtedy działo. Oczywiście budynek pierwszy to był przy ulicy we Wrzeszczu, ona się nazywała, ta ulica, Marchlewskiego, teraz Dmowskiego, w bardzo krótkim okresie, następnie „Solidarność” przeniosła się do budynku przy ulicy Grunwaldzkiej 103. Zostałem tam mnóstwo ludzi - zostałem przede wszystkim Andrzeja Gwiadzę i przy jego poparciu podjąłem się pracy tej, która była potrzebna do prowadzenia działalności, tak nazywaliśmy, „propagandy wizualnej”, bo w tym czasie przy braku dostępu do środków masowego przekazu jedyną rzeczą, jaką można było w tym czasie robić, to tylko w ten sposób można było docierać do ludzi, do społeczeństwa, więc pierwsze moje hasło, które namalowałem na murze pomiędzy Stoczną Gdańską a Stoczną Północną: „Życzymy sądowi niezawisłości”. Dotyczyło to przede wszystkim rejestracji związku zawodowego w sądzie w Warszawie. Następne hasło namalowałem na murze stoczni: „Żądamy rejestracji NSZZ »Solidarność« bez zmiany statutu”, i po namalowaniu tego drugiego hasła pracownicy i działacze związku NSZZ „Solidarność” w Zarządzie Regionu postanowili, że wszystkie tego rodzaju prace zostaną mi zlecone, że będę to wykonywał, w związku z tym zostałem oddelegowany na zasadzie porozumienia dwóch stron - Gdańskich Zakładów Elektronicznych, dyrektor zgodził się podpisać, do przeniesienia mnie do pracy w Zarządzie Regionu. Tam otrzymałem pokój nr 44 w Dziale Informacji, kierownikiem tego wydziału była pani Joanna Wojciechowicz, czyli to była moja szefowa. Zająłem się tą pracą, jeżeli chodzi o malowanie haseł, klejenie plakatów itp. Do tego celu potrzebni byli ludzie, ponieważ nie byłem sam w stanie tego jednoosobowo wykonać, w związku z tym zorganizowałem sobie grupę. Chętnych było bardzo wielu, nawet musiałem zrobić niejaki przesiew, z tym że nie miałem możliwości, żeby zweryfikować dane osoby, ponieważ nie było takiej możliwości. Stworzyłem taką grupę, taki, liczyłem na to, że dziesięć, jakieś dwanaście do piętnastu osób, to całkowicie wystarczy, no i tak się to wszystko zaczęło. Zaczęliśmy malować hasła na murach Trójmiasta, do dyspozycji dostałem samochód jeden, potem drugi z kierowcą. Głównym naszym miejscem to był punkt taki kontaktowy przy ulicy Grunwaldzkiej, gdzie dzisiaj znajduje się Galeria Bałtycka, to była Fabryka Cukrów i Czekolady „Bałtyk”, to był bardzo długi mur. A dlaczego wybrałem go? Ponieważ był przy głównym trakcie komunikacyjnym, gdzie każde hasło namalowane było widoczne dla przejeżdżających tramwajami, autobusami, samochodami, więc to miało wielkie znaczenie. Oczywiście były dworce kolejowe, była Gdynia, była ulica Jana z Kolna, były nawet i kartuzy, i Kościerzyna, i Starogard Gdański, tak że jeździliśmy również w teren. Oczywiście próbowano nam w tym przeszkadzać - podjeżdżały samochody milicyjne, zomowskie, z tajnymi pracownikami Urzędu Bezpieczeństwa. Próbowali nas nakłonić do przerwania pracy, próbowali nas zatrzymać w różnych sposób, ja natomiast wiedząc o tym, co może nas spotkać, to zabezpieczyłem się w ten sposób, że poprosiłem Zarząd Regionu o wydanie legitymacji związkowej, którą mam tu przy sobie, tak że mogę ją pokazać, jeżeli trzeba.

Wspominał pan o malowaniu tych haseł, natomiast to malowanie haseł miało miejsce już po strajkach.

To miało [miejsce] już po strajkach, już po podpisaniu porozumień, wtedy kiedy „Solidarność” otrzymała swój budynek i tam dopiero powstały przeróżne działy. Ja byłem w Dziale Informacji.

Czy takie malowanie haseł to nie był lekki wandalizm? Milicja ścigała to, oczywiście, natomiast wymalowywanie haseł na murach nawet dzisiaj nie do końca jest dozwolone.

To, jak powiedziałem na początku, to był czas, kiedy nie było dostępu do środków masowego przekazu i nie było innego sposobu, żeby można było wyrazić taką sytuację, która miała miejsce w danym czasie, i tylko w ten sposób, z tym że to nie były tylko mury, to nie było klejenie plakatami, ale wpadłem na pomysł, żeby robić to na pociągach. Wybierałem specjalnie cysterny, bo cysterny mają gładką blachę, i w środku lata nagrzane przez słońce, więc te napisy robiłem od ręki. Oczywiście zostało to docenione przez Służbę Bezpieczeństwa, że potem w Strzebielinku proponowano mi nawet też wykonywanie tej pracy, ale pod innym tytułem, czyli pod innym nadzorem. Oczywiście była to odmowa, do tego przejdę dalej. I tak jak powiedziałem, próbowano nas zatrzymać, więc otrzymałem tak zwany glejt do tej legitymacji, którą tu posiadam nawet do dnia dzisiejszego, to jest z numerem krajowym trzydziestym. Taką samą legitymację posiada pani Ania Walentynowicz, z tym że ona ma numer trzeci, ja mam trzydziesty, numer krajowy trzydziesty. To jest ta legitymacja. Do tego była dołączona wkładka koloru żółtego o takiej treści, że upoważnia się Zygmunta Błażka z grupą do prowadzenia działań propagandowych na terenie Trójmiasta i powiatu pomorskiego, chyba tak, nie wiem, ja bez okularów to nie przeczytam.

A kto wydał ten żółty dokument?

To było wydane przez moją szefową, Joannę Wojciechowicz. Oczywiście musiało to zostać zaakceptowane, no i podpis również Lecha Wałęsy. W tym czasie miało to duże znaczenie, tak że jeżeli bym podał taki przykład, jak byliśmy w Starogardzie Gdańskim, ale przedtem do zakładów Centry zadzwoniłem i powiedziałem, że popołudniu, gdzieś za dwie i pół godziny przyjedziemy z materiałami informacyjnymi do Starogardu, więc przyjechaliśmy na główny rynek, okazało się, że cały rynek jest zawalony ludźmi. Wszyscy oczekiwali na nasz przyjazd, więc z samochodu wydawaliśmy, bo to był dostawczy, taki mercedes, wydawaliśmy materiały, ja przez nagłośnienie ręcznie odczytywałem najświeższe komunikaty i oczywiście zjawiała się milicja. I pierwsze pytanie do kierowcy: „Kto pozwolił panu tutaj zaparkować? Tu jest zakaz”, ja odpowiedziałem, że „Tu jest bardzo dużo innych samochodów, co do których nie mieliście wcześniej żadnych pretensji”, no i oczywiście ludzie zgromadzeni wokół tego samochodu reagowali w sposób niesamowity - po prostu ten samochód został opluty ze wszystkich stron. Ja chłopakom powiedziałem, że na tym się na pewno nie skończy, bo będziemy wyjeżdżać ze Starogardu, to na pewno nas zatrzymają, i tak się też stało - dwa samochody w poprzek jezdni w kierunku Gdańska zablokowały jezdnię, musieliśmy się zatrzymać. Wsiadłem z samochodu i powiedziałem temu, dwóch ich podeszło do nas, a dowódca siedział w samochodzie, powiedziałem: „Proszę pana, jeżeli za dwadzieścia minut ja się nie zjawię w Gdańsku z powrotem, może być pan pewny, że pan już straci pracę w Starogardzie Gdańskim - oczywiście to był blef z mojej strony, zawsze tak działałem - ale dobrze się zgadza, bo w Stoczni Gdańskiej spawaczy potrzebują. Jak się pan pospieszy, to się pan załapie”. No i oczywiście podeszli do tego samochodu z tym swoim dowódcą i za parę minut rozjechali się i pozwolili nam jechać, taki był tego skutek, ale z tym że pokazywałem tę legitymację łącznie z tym, tak że to miało bardzo wielkie znaczenie. W niektórej prasie związkowej przeczytałem, że też te działania próbowano robić gdzieś w Kielcach czy w Opolu, ale chłopcy po prostu nie zdawali sobie sprawy z tego, jakie to mogą być tego konsekwencje, więc robili to cichaczem, nocą. Ta działalność trwała najwyżej dziesięć-piętnaście minut - zostali zwinięci, pobici i zaaresztowani.

Byłem parę lat temu zapraszany bardzo często na spotkania z młodzieżą do liceum, na przykład do „Topolówki” we Wrzeszczu, do liceum w Sopocie i młodzież zadawała mi pytania, bo to w zasadzie trąciło taką wielką przygodą. Pytano mnie, czy myśmy to robili w nocy - ja mówię: „Wprost przeciwnie, w biały dzień, tam, gdzie jest największe skupisko ludzi. Wszystkich ludzi w tym czasie mieliśmy za sobą, tak że nie mieli najmniejszych szans, żeby można było nas po prostu zwinąć z ulicy”.

Dobrze, no to już wiemy w takim razie, jak wyglądał ten czas po strajkach, natomiast ja chciałbym jeszcze dowiedzieć się, jak wyglądał ten czas przed strajkami i czas strajków, czyli ten okres do lipca osiemdziesiątego roku i ten czas samego lipca i sierpnia już. Jak to wyglądało z pana perspektywy?

Z mojej perspektywy ja specjalnie nie uczestniczyłem w tym ruchu, tylko dopiero od tego momentu, kiedy spotkałem się z Andrzejem Gwiazdą i po rozmowie z nim zgodziłem się właśnie na branie udziału w tych spotkaniach. Oczywiście tam przychodzili i robotnicy ze stoczni, z różnych innych zakładów, tak że tam poznałem się z Lechem Kaczyńskim, z którym później siedziałem razem w Strzebielinku, i mnóstwo różnych ludzi, którzy po prostu prowadzili wykłady na różne tematy: gospodarcze, polityczne, społeczne, i to mnie bardzo interesowało. Przy okazji był rozdawany „Robotnik”, którego oczywiście tam w odpowiednich egzemplarzach się brało i na przykład w „Unimorze” przekazywałem ludziom, ale też musiałem wiedzieć, komu, bo na podstawie posiadania takiego egzemplarza można było znaleźć się bardzo szybko za kratami.

Wspominał pan o tym, że Andrzeja Gwiazdę spotkał pan w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, prawda?

To w siedemdziesiątym dziewiątym roku, ale wcześniej z nim pracowałem w latach sześćdziesiątych w Elmorze, i stąd myśmy się znali. Tak przypadkowo się z nim spotkałem, nie pamiętam, to chyba na rynku było, przy jakichś tam zakupach, i od tego momentu się właśnie to zaczęło.

W roku osiemdziesiątym, rozumiem, w lipcu i w sierpniu bezpośredniego udziału w strajkach pan nie brał, prawda? Dopiero później ta kariera, można byłoby tak to określić, opozycyjna nabrała tempa już po strajkach?

Tak, ale z tym że wcześniej, jak powiedziałem wcześniej, że mieszkałem na ulicy Tuwima koło Akademii Medycznej, strajk, który się rozpoczął, to po prostu mnie to bardzo zafascynowało i uruchomiło wewnętrzną taką potrzebę, że z żoną razem gotowaliśmy herbaty, kawy, robiliśmy mnóstwo kanapek - mieliśmy blisko z ulicy Tuwima - i nosiliśmy pod stocznię. No i wtedy sobie akurat tak uprzytomniłem, bo widziałem przez bramę, że tak wchodzi przy sprawdzaniu przepustek, patrzę - Andrzej Gwiazda, no i udało mi się do niego podejść i po chwili rozmowy [mówi]: „No to nie ma sprawy, nie ma problemu. Proszę bardzo”, to wprowadził mnie na teren. Tam jeszcze bodajże przy bramie stał taki Janek Bury, którego znałem bardzo [dobrze] z młodzieńczych lat, on był całym tym takim, że tak powiem, komendantem od przepustek, no i zostałem wprowadzony już na salę BHP i od tego się zaczęło. Tak że zacząłem, jeżdżąc rowerem, przekazywać, bo wiadomo, że stocznia była okrążona, tam żaden pojazd nie mógł dojechać, a w takim wypadku rowerem można było wszędzie się przemieszczać, tak że byłem przydatny od tego momentu, jeżeli chodzi o wywożenie materiałów drukowanych tam w stoczni, no i niektóre materiały były ze Stoczni Gdynia,

dowożone do stoczni, ale też trzeba było je wywieźć poza teren.

A jakie postulaty z tych postulatów sierpniowych, podpisanych w Gdańsku oczywiście, ale między innymi w Szczecinie także czy w Jastrzębiu-Zdroju i Dąbrowie Górniczej, które z nich wydawały się panu wtedy najważniejsze?

Najważniejsze? No to same związki zawodowe. To było najważniejsze, bo wiadomo, że jeżeli będą zalegalizowane, to wtedy związek działając legalnie, może wprowadzić bardzo dużo postulatów nowych, które są korzystne dla kraju, dla społeczeństwa.

A czy mógłby pan opisać proces budowania struktur „Solidarności” w swoim miejscu pracy albo w swoim miejscu zamieszkania? Mówimy tutaj o ludziach, o prasie związkowej, o kontaktach z załogami i z dyrekcją, o kontaktach roboczych i tak dalej, i tak dalej. Czy coś pan na temat tego budowania struktur „Solidarności” wie?

No nie bardzo, nie bardzo. Ja mogę tylko powiedzieć, jak odbywał się, jak przebiegał codzienny dzień w okresie strajku na terenie Gdańskich Zakładów Elektronicznych „Unimor”.

To proszę o tym powiedzieć.

Tak więc tak jak powiedziałem, mieszkałem na ulicy Tuwima, więc blisko, ale rowerem dojeżdżałem do pracy. Rower oczywiście wprowadzałem na teren wydziału, na co było zezwolenie, i godzina siódma rano, to najpierw wszyscy siedzieli, oczywiście na swoich stanowiskach, bo takie było zalecenie, kawa, herbata i opowiadanie o sytuacji bieżącej. Oczywiście na każdym wydziale był zamontowany głośnik, ta instalacja była podłączona pod radiowęzeł zakładowy i wszystkie komunikaty, które ja dostarczałem z poprzedniego dnia, przyjeżdżając do zakładu, i na następny dzień rano przekazywałem do naszej rozgłośni zakładowej, na podstawie tych wiadomości załoga całego zakładu była informowana, co się dzieje na terenie stoczni. Oczywiście to był, nie pamiętam dokładnej daty, ale było tak, że do Urzędu Wojewódzkiego przyjechał minister Pyka. Drzwi się otworzyły, wszedł dyrektor, sekretarz partii, kierownik działu i natychmiast wyłączył ten głośnik, z którego leciały te komunikaty, i powiedział tak, ogłaszając, około stu osób nas na wydziale pracowało, że jeżeli przystąpimy do pracy, minister Pyka zapewnił nam na 2 000 podwyżki, ale mamy przystąpić natychmiast do pracy, przerywając strajk, więc zapadła konsternacja. Kobiety, których większość była na tym wydziale, po prostu była przerażona i nikt nie miał odwagi, żeby się odezwać, więc wstałem, trzęsącym się, drżącym głosem powiedziałem: „Pan tu nie ma prawa wydawać żadnych poleceń. W tej chwili polecenia wszystkie są wydawane przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, to, co jest w sali BHP ustalone” i oczywiście podszedłem do tego głośnika i z powrotem wróciłem, żeby leciały te komunikaty, i od tego się potem zaczęło, że już byłem oczywiście wrogiem numer jeden w zakładzie. Nic sobie z tego nie robiłem, bo było tak, że po jakiejś godzinie-półtorej, będąc w zakładzie, to brałem rower i wyjeżdżałem na salę BHP, tam zdałem relację z tego, co mnie tu spotkało, no i tak codziennie było to samo, ale już więcej nikt nie namawiał do przerwania strajku, czyli tamten moment się zakończył.

Opowiadał pan o akcjach różnego rodzaju, niektóre były bardziej brawurowe, to ta w Pruszczu, jak dobrze pamiętam.

Przy Starogardzie Gdańskim.

To w Starogardzie Gdańskim, kiedy nastraszył pan służby dokumentem. A proszę mi powiedzieć, czy jakieś takie szczególnie brawurowe, szczególnie niebezpieczne, związane z tą propagandą, tak to określmy, zapadły panu szczególnie w pamięć?

Tak. Wydrukowane były w drukarni naszej związkowej przepiękne plakaty z orłem w koronie, to były trzeciomajowe, ze wstęgą taką biało-czerwoną. Mieliliśmy tych plakatów sporą ilość. Wpadłem na pomysł, że zrobimy taką akcję: wyjechaliśmy do Gdyni, bo wiedziałem, że o dwudziestej trzeciej z minutami jedzie pociąg do Berlina. Podzieliłem w Gdyni na peronie grupę na dwie części, sam zostałem na peronie, drugą część z drugiej strony i cały ten pociąg osobowy oczywiście, to były wagony długie, pullmany, gdzie okna otwierały się w całości, nie tak jak teraz do połowy, ale w całości, i powiedziałem, zaleciłem wszystkim członkom swojej grupy, parszywej dwunastki: „Naklejamy plakaty na ten rozrzedzony rozpuszczalnikiem butapren na burtach, a drugą część na szybach, na oknach”. Po co? Po co to, żeby właśnie dało się je przemyć za granicę, i tak się też stało. Sam z jedną częścią grupy robiliśmy to od strony peronu i po zakończeniu tej akcji pociąg oczywiście jeszcze stał, bo to było dosyć dużo czasu, w otwartych oknach siedzieli pasażerowie, chodziłem wzdłuż i pytałem: „Dokąd państwo jedziecie? Dokąd pan, dokąd pani jedzie?”. „A do Koszalina”, „Do Szczecina”. „Dobrze, mnie to nie interesuje. Dokąd pan jedzie?” - do Berlina jedzie. Mówię: „Proszę pana, przed granicą mam do pana prośbę. Jak pan to okno z tym plakatem niech pan opuści na dół, niech pan schowa”, i tak też kazałem im zrobić z drugiej strony. Za dwa dni miałem kontakt oczywiście z „Solidarnością” PKP, przyszedł do mnie kolejarz „Solidarności” i z wielką radością mi oznajmił, że pociąg został ponad dwie godziny zatrzymany na granicy, wopiści zostali zaangażowani do skrobania burt i oczywiście pociąg dojechał do Berlina. Pojechał do Berlina, tam otworzono okna i polskie nasze plakaty z orłem w koronie znalazły się w Berlinie. Byłem naprawdę szczęśliwy, że tak się stało. Drugi raz 300 plakatów takich, muszę powiedzieć, że jestem autorem tego plakatu „To nic, ale mamy za to socjalizm!”, czyli tego człowieczka z tym workiem na plecach, 300 plakatów zostało przemyconych do ówczesnego Leningradu - też potwierdzenie było, że tam się znalazły.

A proszę mi powiedzieć, wspomina pan o tym z takim trochę uśmiechem mam wrażenie, z delikatnym rozrzewnieniem. Jak wspomina pan ten okres, ale o, może jeszcze najpierw zapytam o to, czy jest pan w stanie podać dokładną datę tego wydarzenia związanego z orłem w koronie i pociągiem do Berlina oraz tego drugiego, do Leningradu?

Dokładnej tej daty nie mogę, dlatego, gdyż... To jest okres trzeciomajowy. Czy to było przed 3 Maja, czy to było po, tego nie umiem powiedzieć, bo tego nie notowałem, natomiast muszę powiedzieć i zaznaczyć, że posiadałem aparat fotograficzny marki Zenit E, który przeważnie miałem przy sobie i albo sam robiłem zdjęcia, albo dawałem któremuś z tych moich chłopaków, żeby to rejestrować, bo powiedziałem, że prędzej czy później to będzie kiedyś potrzebne, więc powstało ponad 300 zdjęć z tych akcji. Oczywiście nie ze wszystkich, ze wszystkich nie, ale są. Ja tu mam w telefonie, to potem pokażę. Byłem bardzo usatysfakcjonowany dwa tygodnie temu - mówię o czasie teraźniejszym - kiedy zobaczyłem w internecie moje hasło, którego nie zarejestrowałem, bo to już nie był ten czas. To było 12 grudnia, gdzieś koło godziny dwudziestej drugiej, we Wrzeszczu w tunelu przy wyjściu na peron kolejki elektrycznej, namalowałem czerwoną farbą: „Precz z PZPR-owską propagandą”. Ciekawostką było to, że przechodząca kobieta nie zdecydo-

wąfa się nawet przejść koło tego napisu, powróciła z powrotem, była przerażona tym, i za półtorej godziny zostałem aresztowany i potem wywieziony do Pruszcza, a potem do Strzebielinka. To już jest późniejsza sprawa. To było 12 grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku około godziny dwudziestej drugiej.

Świetnie. A jak wspomina pan ten okres, czyli rok 1980, jeżeli miałby pan z takiej swojej własnej, osobistej perspektywy ocenić teraz to i powiedzieć, jak pan to wspomina? Jaki to był czas?

Ja to wspominam zawsze z wielką przyjemnością, gdyż to był okres, jak to nazwano „Karnawałem Solidarności”, więc wyżywałem się naprawdę z wielką satysfakcją. W domu nocowałem dwa, najwyżej trzy razy w tygodniu, poświęcając swój czas tylko i wyłącznie temu celowi, żeby działać, żeby działać dla związku, dla „Solidarności”. Dlaczego? Może wspomnę tylko swoje młodsze lata: oczywiście mając niewiele lat, kilkanaście, zaczytywałem się w książkach, oczywiście które były zakazane, tak zwane białe kruki, dotyczące powstania warszawskiego, Szarych Szeregów, harcerstwa, lat okupacji, i widząc te wszystkie działania młodzieży, malujących hasła, znak Polski Walczącej, czyli kotwicy na murach i temu podobne przeciwko Niemcom, to mnie właśnie zafascynowało. Później, mając lat szesnaście, mieszkałem jakiś czas w Poznaniu przy ulicy Marcinkowskiego, uczęszczałem do liceum plastycznego, no bo akurat miałem te zdolności, co potem było widać na murach i pod Hałą „Oliwią”, gdzie kilkumetrowe napisy od ręki malowałem, i tam byłem świadkiem w pięćdziesiątym szóstym roku w czerwcu, co się działo na ulicach - widziałem krew, widziałem nieszczęście. Widziałem to wszystko, to mi bardzo na długo zostało w pamięci, tak że miałem odpowiednie już podejście do tych spraw. W momencie kiedy, nie wiem, czy mam mówić teraz jak już powstawał stan wojenny?

Tak, oczywiście, o stanie wojennym także, natomiast jeszcze chciałbym zapytać pana o jedną rzecz: czy pan się nie bał? No jednak malowanie takich rzeczy, pod nosem władzy bardzo często, patroli milicyjnych i tak dalej, i tak dalej, wiązałoby się dla wielu osób z ogromnym stresem, którego nie można w żaden sposób przemóc i prawdopodobnie wiele osób by zrezygnowało z czegoś takiego. Nie odczuwał pan jakiegoś silnego strachu, napięcia, stresu?

Trochę było, ale z tym że ja po prostu byłem tak zafascynowany tym, co robiłem, że po prostu nawet ze szczegółami nie analizowałem tego, bo nawet takie hasło naprzeciwko Komitetu Wojewódzkiego, na tym płocie, tam, gdzie te okratowania są, dawnego „Żaka” - przecież w trzy samochody przejeżdżali; na ulicy Okopowej, gdzie 150 metrów od nich, na ulicy, na chodniku, między bankiem a ich siedzibą namalowałem hasła: „Durnie z bezpieki zamalowują hasła »Solidarności«”. Oni się boją prawdy i własnego cienia. Jeżdżą Nysą GDN 19-24”. To mam nawet zarejestrowane na zdjęciach. To samo hasło powstało na murze ówczesnego „Bałtyku”, gdzie dzisiaj jest Galeria Bałtycka, tak że w kilka samochodów przyjeżdżali po cywilnemu, próbowali nas [schwytać], ale mieliśmy tłum zawsze za sobą, i tam na wspomnianej ulicy Okopowej, po przeciwnej stronie były tam takie jakby pawilony z piwem czy coś takiego, i tam hałas się na ulicy w takim momencie robi, bo wiadomo, że [mówi się] głosem podniesionym, a ja miałem dosyć mocny głos, więc od razu przybiegli wszyscy, nawet z tymi kuflami, z tym piwem, no i odpowiednimi słowami oczywiście, nawet wulgarnymi, ich stamtąd przepędzili, no i jak niepyszni musieli odjeżdżać, i nigdy nie doszło do tego, żeby nas zgarnęli, chociaż raz jeden tak było, ale to było w Gdyni przy ulicy Jana z Kolna, z tym że to było postanowienie z mojej strony, bo to był czas, kiedy w Teatrze Muzycznym w Gdyni odbywały się wybory regionalne i wiedziałem, bo już powiadomiłem kolegę Stasia Fudakowskiego i wielu innych, że będziemy w Gdyni, tam będziemy robić akcję

przy ulicy Jana z Kolna, poczwwszy od hali targowej do placu Kaszubskiego, i tak też się stało. Podjechała milicja i próbowali [nas zgarnąć] - proszę bardzo, pokazałem legitymację i tego. „Czy wsiądziecie do samochodu?” - „Oczywiście”. I miałem takich kolegów w swojej grupie, bardzo silnych akurat i tak wrogo nastawionych do tego komunizmu, taki Andrzej Składowski, on później zresztą wyjechał do Sydney w Australii, i tym pędzłem z białą farbą stanął przy tej ich Nysie i tam im mazał ten samochód, żeby im ochlapać. Wsiadliśmy wszyscy zgodnie do tego samochodu, no i oczywiście ten kubeł z tą białą farbą na tym samochodzie, to jeszcze jeden z tych milicjantów jeszcze do tego Andrzeja Składowskiego mówi: „Będziesz zlizywał to”. Nie odezwaliśmy się nic, weszliśmy na komendę na Portową, ale co jeszcze przedtem zrobiłem, że akcja miała taki przebieg, że dwóch z mojej grupy, oczywiście po cywilnemu, a dlaczego tak mówię? Myśmy brali udział zawsze w kombinezonach, mieliśmy takie kombinezony ciemny czy granat jasny z nalepkami „Solidarność”, żeby było wiadomo, kto wykonuje tego rodzaju działania, a tych dwóch postawiłem jako czujki, że jeżeli my wsiądziemy do tego samochodu, natychmiast mają się udać do Teatru Muzycznego i powiadomić, że myśmy zostali przewiezieni na komendę. Oczywiście przewieźli nas na komendę na Portową i pan siedzący po cywilnemu za biurkiem zaczął się gęsto tłumaczyć. Oczywiście przy wejściu stał taki wysoki drągal w mundurze zomowca, pilnując nas. Kazał mi usiąść naprzeciwko i mówi tak: „Proszę pana, ja jestem w zasadzie z działu dla tych przestępstw dla nieletnich, no ale tam są zajęci i tego”, i oczywiście on siedział tak jak pan tu z tej strony, a z tyłu miał okno od podwórka i na podwórku była przyczepa z takimi beczkami z paliwem czy z czymś, no to zaczął mi mówić: „A, bo tam pewnie jakichś szablonów używacie”, ja mówię: „Niech pan mnie nie obraża, ja wszystko robię tą prawą ręką” i w tym momencie beczka [została] czy tam zepchnięta przez jakichś pracowników czy sama spadła z wielkim hukiem, i on aż podskoczył na tym krześle. Ja mówię: „Niech się pan nie boi, zaraz po nas przyjdą”, a już wiedzieli, już ci chłopcy poszli, tam dali znać, no i za chwilę mówi: „No dobrze, no to tyle. To możecie wychodzić” i kazał temu zomowcowi, żeby nas poprowadził przez ten korytarz, na schody i na dół. Oczywiście drzwi z hukiem na dole się otwierają, tak jak wspomniany Jasiu Bury ze Stoczni Gdańskiej, kilku takich drabów, że tak powiem, chyba z trzech czy czterech, biegli po schodach, potrącili milicjanta, któremu tam wszystkie papiery wypadły na te schody i zaczęły fruwać. On mnie pyta, Jasiu Bury: „Gdzie ten, co z wami rozmawiał?”, ja mówię: „Tam, w tym gabinecie komendanta”. - „Idźcie do samochodu, tam na was czeka”, i on powiedział teraz tak, później mówi: „Jeżeli nie, to tu Wafęsa przyjdzie i pól Gdyni przyjdzie po nas, żeby nas odbić dosłownie”. Wsiadliśmy do tego samochodu, zawieziono nas do teatru, tylnym wejściem weszliśmy, umazani tą farbą, tym wszystkim, z kubłami, z plakatami, z pędzlami - cała sala ludzi, wszyscy stali i wielkie brawa nam bili [śmiech]. Tak się skończyło.

I ta działalność propagandowa do stanu wojennego trwała rozumieć, od sierpnia?

Do samego stanu wojennego. Tak jak powiedziałem, to ostatnie hasło, które namalowałem, które było niezarejestrowane, było mi bardzo żal, że go nie mam w swoim archiwum, i dwa tygodnie temu właśnie natrafiłem na to, polska agencja prasowa upubliczniła to hasło, ja je zaraz pokażę, i akurat je wkleiłem do swojego archiwum.

A proszę mi powiedzieć, jaką „Solidarność” - to takie pytanie filozoficzne - jaką „Solidarność” z roku osiemdziesiątego pozostawili państwo swoim dzieciom, wnukom i przyszłym pokoleniom?

Jaką „Solidarność”? Taką, jak w tamtym czasie: jak człowiek się czuł, jakie miał poglądy w tamtym czasie, nadzieje,

co się będzie działo, co będzie dalej, że na pewno się coś zmieni, na pewno cały ten rząd komunistyczny pędzej czy później upadnie, że na pewno nastąpi jakaś zmiana, i w to wierzyliśmy wszyscy święcie.

Wróćmy jeszcze na chwilę do roku 1981. Wybucho stan wojenny i jak by mi pan tak krótko opowiedział, co się z panem dzieje? Stan wojenny, już pan malować nie może, „Solidarność” zdelegalizowana. Co się dzieje w pana życiu?

Ja muszę powiedzieć szczegółowo, jak to było, ponieważ jak powiedziałem, że znajdowałem się w Zarządzie Regionu przy ulicy Grunwaldzkiej 103 we Wrzeszczu, w godzinach wieczornych przyszła do nas kobieta, starsza, zapłakana, i powiedziała, że przy ulicy Matejki we Wrzeszczu, gdzie mieszka Karol Krementowski, został otoczony jego budynek przez oddziały ZOMO, więc ja wziąłem tego wspomnianego wcześniej Andrzeja Składowskiego i mówię: „Chodź, Andrzej, przejdziemy się”. Poszliśmy tam i rzeczywiście - pełno zomowców, szczekanie psów i niesamowity hałas. Sąsiedzi wszędzie z tego budynku i z okolicznych budynków uderzali po parapetach, po oknach, żeby wypłoszyć tych zomowców, bo znali Karola Krementowskiego. Ponieważ on posiadał dwa duże psy, zabarykadował się w domu, więc oni nie mogli tam po prostu do niego się dostać. Myśmy przeszli tam kawałek dalej koło tej budy zomowskiej i następnie mówię: „Andrzej, chodź, pójdziemy [na] podwórko”, no i wchodzimy tam, a oczywiście po tych sąsiednich podwórkach kręcili się wszędzie tajniacy. Podszedł jeden do nas, mówi: „Co wy tu robicie?”, ja mówię: „Nic, załatwiamy swoją potrzebę”. „To kończyć i uciekać stąd”. To wróciliśmy z powrotem do Zarządu Regionu, wchodząc do drzwi podszedł do mnie jakiś gość po cywilnemu i powiedział, że chce przekazać nam stany - nie wiedziałem, o co w pierwszej chwili jemu chodzi - że on jest oficerem Niebieskich Beretów stacjonujących przy ulicy Słowackiego. Powiedziałem, że w tej kwestii ja po prostu nie mam orientacji, bo ja się zajmuję całkowicie czymś innym i wysłałem go do świętej pamięci dzisiaj Arama Rybickiego, który był w którymś z pokoi na piętrze. Nie minęło dużo czasu i pojawiły się samochody jadące w kierunku Oliwy. Nie wiedzieliśmy jeszcze dlaczego, ale to cała kawalkada samochodów - okazało się, że oni jechali do Sopotu do Grand Hotelu celem aresztowania członków „Solidarności”. Myśmy jeszcze nie wiedzieli, że stan wojenny zostaje wprowadzony, ale już czuliśmy, że się coś zaczyna dziać. Naprzeciwko naszego budynku, gdzie był budynek poczty, zaczęły gasnąć światła i było widać jeszcze przed tym, zanim jeszcze były oświetlone klatki schodowe, jakiś ruch, po prostu bieganie po klatkach schodowych i tak dalej, i oczywiście tu od nas z centrali telefonicznej, gdzie był teleks również, przyszedł kolega Stanisław Oleszczak i mówi: „Słuchajcie, nie ma telefonów. Zostały wyłączone, zostały teleksy wyłączone”, no i za jakiś czas patrzymy: zajeżdżają samochody, bodajże chyba jeden autobus, samochody-więźniarki, potem te milicyjne. Cały budynek został okrążony, więc my błyskawicznie zaczęliśmy barykadować drzwi. Zamknąłem na kłódkę, bo to były kraty jeszcze takie zamykane oprócz drzwi, szafę wziąłem, wepchałem na drzwi, to Aram Rybicki przyszedł, mówi: „Zygmunt, daj spokój - mówi - zobacz, ile ich jest. To nic nie da” i ledwo zdążył to oni przez te kraty pchnęli tę szafę, że ja się odsunąłem, przewróciła się, tam trochę popękata, no i oczywiście nożycami poobcinali te kłódki, powchodzili do środka. Przyszedł do mnie do pokoju i powiedział taki mały w skórzaną kurtkę ubrany, płaszcz skórzany, i mówi tak: „Zabierać dokumenty, dawać dokumenty swoje i wychodzić”. No nic innego, no to wziąłem klucze tylko, jakie miałem od mieszkania, miałem tam mnóstwo rzeczy swoich prywatnych, elektronicznych, bo już zostałem upoważniony przez nieżyjącego dzisiaj Konrada Maruszczyka do prowadzenia łączności radiowej pomiędzy zakładami pracy, zakładałem radio CB i tak dalej, to wszystko, to już jest inna kwestia, no i schodziliśmy na dół. Oczywiście na schodach pełno, aż niebiesko od milicji, od zomowców, do otwartej budy i wywieziono nas do Pruszcza. Tam oczywiście przesłuchania. Jako pierwszego

mnie wezwano na przesłuchania i pierwsze pytanie, jakie padło: „Ile pan zużył tych szablonów do tych dużych haseł, co pan malował?” , a ja znowu powiedziałem: „Proszę pana, niech mnie pan nie obraża. Jak pan chce, to ja mogę tu panu na ścianie [namalować]” . - „Nie, nie, dziękuję” , no i tak się skończyło, wtedy brali następnych. To była niedziela, tak że byliśmy w tej świetlicy zgromadzeni, oczywiście cały tam pluton chyba jak nie więcej zomowców, uzbrojeni, tam nas trzymali w tej świetlicy. Jakiś telewizor tam stary stał, oczywiście czarno-biały. Potem się okazało, że stan wojenny, zasumiony ten obraz, został wprowadzony. Położyliśmy się potem na podłodze, żeby jakoś przespać na tym, co kto miał, kurtki, nie kurtki, ale o dwunastej nas obudzono i zaczęto nas wyprowadzać do więźniarek, no i tymi więźniarkami już jechaliśmy. Ja mówię: „No, to już chyba dobrze, bo z powrotem nas odwiozą” - ale skąd, przejechaliśmy przez Wrzeszcz, Oliwę, Sopot i jedziemy, Gdynia, na Wejherowo - znałem te rzeczy, no ale śniegu było dużo, mróz, śnieg sypał, więc powiedziałem do tej części, bo ta więźniarka była przedzielona na dwie części: tu dziesięć osób, mężczyzn, a w drugiej części kobiety, i w tej części, gdzie [siedzieliśmy] my to powiedziałem: „Kto ma jakieś kartki, ołówki czy długopisy, pisać imiona, nazwiska, adresy - a ja siedzę w tylnej części, gdzie jest ten wentylator taki, tam kilka takich otworów płaskich - będę wyrzucało, może ludzie znajdą, to będą wiedzieli, że tu nas wieziono, bo nie wiadomo, gdzie nas wiozą i po co” . I oczywiście po długim czasie stanęliśmy w lesie, to było przed Strzebielinkiem, nie raz jak tam zajeżdżamy na rocznicowe uroczystości, to zawsze wspominam to, i wygaszono silnik. Kobiety się tam zaczęły modlić, bo to słychać, i powiedziano: „Boże, chyba zrobią nam tu drugie Palmiry” . Odważny byłem, oczywiście, ale tu miałem mokre plecy, tak że wiedzieliśmy, co nas może spotkać, znając doskonale historię, ale to było obliczone na zmiękczenie nas, oczywiście po jakimś czasie uruchomiono silnik i podwieziono nas pod bramę, tam budynek administracyjny i zaczęło się. Zdjęcia robiono nam z trzech ujęć, brano nasze palce jak kryminalistom, maczano w tuszu, zakładano kartoteki, spisywano dane, personalia. Zabrano nam wszystko, łącznie to, co mieliśmy swoje, zegarki czy tam zapalniczki, wszystko nam pozabierano do depozytu. Zaprowadzono mnie długimi korytarzami do celi nr 33 i pierwszym moim współwięźniem był nieżyjący dzisiaj, zamordowany w Warszawie profesor Jan Strzelecki. Oczywiście po jakimś czasie zaczęła się cela zapełniać, to były cele przeznaczone na szesnastu więźniów. Więzienie to lekkie, bo to było przeznaczone dla budujących elektrownie w Żarnowcu. Oczywiście tamtych więźniów przeniesiono do więzienia w Wejherowie, zrobiono nam tam miejsce, ale zostawiono tylko takich, na przykład więźnia jakiegoś gospodarczego czy tam kucharzy, takich do celów roboczych. Potem się okazało, że cała krajówka znalazła się w Strzebielinku, tak że początkowo czułem się naprawdę dobrze, bo byłem wśród swoich, a dzisiaj mogę śmiało stwierdzić, że była to wielka pomyłka, bo wiele osób okazało się, że zmieniło całkowicie front o 180 stopni, i tak się ma rzecz dzisiaj.

[00:49:24 KONIEC NAGRANIA]